NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 31 Katowice, dnia 2-go sierpnia 1931

Na Niedzielę dziesiątą po Świątkach

Lekcja.

1 Kor. XII. 2—11.

Bracia! Wiecie iż gdyście pogany byli, do niemych bałwanów jako was prowadzono szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w Duchu Bożym mówiąc, nie mówi przeklęstwa Jezusowi; a żaden nie może rzec: Pan Jezus, tylko w Duchu świętym. Różności darów są, lecz tenże duch. I są różności posług, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie ducha ku pożytkowi. Jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości, a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu, drugiemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Drugiemu czynienie cudów, drugiemu proroctwo; drugiemu rozeznanie duchów, inszemu rozmaitość języków, a drugiemu wykładanie mów. A to wszystko sprawuje jeden a tenże Duch, udzielając z osobna każdemu jako chce.

Ewangelja.

Onego czasu: Mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby sprawiedliwi, a inszymi gardzili, to podobieństwo: Dwoje ludzi wstąpiło do Kościoła, aby się modlili; jeden Faryzeusz, a drugi Celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Boże dziękuję tobie, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten Celnik. Poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego co mam. A Celnik stojąc zdaleka, nie chciał ani oczu podnieść w niebo; ale bił piersi swoje, mówiąc: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu! Powiadam wam, zstąpił ten usprawiedliwionym do domu swego, od niego. Albowiem ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżon, a kto się uniża, będzie podwyższon.

Nauka

Najmilsi w Chrystusie! Jednym z najwięcej rozpowszechnionych grzechów na świecie, to pycha. A pychą Bóg się brzydzi, serca pyszne Bóg od siebie odtrąca i oddala. Potępił kiedyś Bóg szatana dla pychy, dla pychy oddalił Adama i Ewę od oblicza swego, dla pychy odwraca i dzisiaj miłość i łaskę Swoją od niejednego człowieka. Dla tego to Pan Jezus tyle razy wskazywał uczniom swoim na brzydkość pychy, a na zasługę, jaka mieści się w pokorze, dla tego to w dzisiejszej ewangelji św. przeciwstawia pokornego celnika pysznemu faryzeuszowi i naocznie wykazuje nam szkodliwość pychy, a wartość pokory.

— Cóż to jest pycha, najmilsi?

Nie jest pyszny ten, co siebie samego szanuje, albowiem my wszyscy jako stworzenia Pana Boga i dzieci Jego, jesteśmy godni poszanowania. I ten nie wynosi się w pysze, który żąda żeby mu okazywano przynależną cześć i uszanowanie i godziwym sposobem stara się o to. Pismo św. mówi bowiem: „Staraj się o dobrą sławę, bo ta dłużej trwać będzie tobie, niż tysiąc skarbów drogich i wielkich“. Sam Apostół Paweł św. mówi o sobie: „Mnie lepiej umrzeć, niżby kto pochwałę moją miał wyniszczyć“. Wreszcie i ten nie wynosi się w pysze, który się stara o jakie wyższe miejsce, stanowisko, urząd, byleby posiadał potrzebne do tego przymioty i czynił to w dobrej intencji, godziwemi drogami, spokojnie i z umiarkowaniem.

Natomiast pychą jest, gdy się ktoś uważa za coś więcej, niżeli jest w istocie i gdy chce uchodzić za coś więcej. Pyszni są więc ludzie próżni, zarozumiali, co sobie niewiedzieć jakie doskonałości przypisują, co sądzą, że wszystko najlepiej wiedzą i najlepiej umieją. Pyszny jest niejeden, co się uważa za nie wiem jak cnotliwego, a gdyby dobrze zajrzał do głębi serca, musiałby bić się w piersi i wołać: „Moja wina, moja bardzo wielka wina!“ Pyszny jest człowiek, co z prostego stanu pochodzi, a nad stan się ubiera, że nieraz robotnika wziąćby można za bogatego pana, a służącą za panią wielmożną. Ci wszyscy mają pychę, bo się przeceniają nieporządnie, chcąc za coś więcej uchodzić, niż są w rzeczy samej.

Pycha jest grzechem bardzo brzydkim, przedewszystkiem dla tego, że jest ujmowaniem czci Panu Bogu należnej. Kto to dobre, które ma, nie Bogu, lecz sobie przypisuje, jest pyszny, bo ujmuje czci Panu Bogu. Życie, zdrowie, rozum, zdolności, bogactwa, godności, szczęście i powodzenie w zamysłach, w pracy, a dalej pobożność, cnotliwość — słowem wszystkie dobra przyrodzone i nadprzyrodzone są darem Bożym, od Boga pochodzą. Cóż masz, czegobyś nie wziął? Ja-

steś zdrowy, urodny, zręczny: Bóg ci to dał. Jesteś majętny, szczęśliwie ci się wszystko powodzi: dar to Boży. Jesteś pobożniejszy, cnotliwszy niż inni: łaska to Boża. Dlatego każdy ma mówić z Apostołem: „To com jest z łaski Bożej jest". Gdy więc to dobre, które masz, sobie samemu przypisujesz, jesteś niesprawiedliwy względem Pana Boga, jesteś pyszny. Takich pysznych widzimy wielu. Chłop mówi: „Mam ładne żniwo, bom też dobrze orał, i uprawiał i siał". Rzemieślnik mówi: „Dobrze mi się wiedzie, bo się też znam na robocie i pilnie pracuję". Tak się odzywa pycha i zarozumiałość. Nie tak sądził o sobie on Job sprawiedliwy, mówiąc, że gdyby sobie samemu przypisywał powodzenie swoje, czyniłby „nieprawość największą i zaprzenie przeciw Bogu najwyższemu". A był nadęty taką pychą Senecherib, który tak się chlubił: „Mocą ręki mojej uczyniłem, i mądrością moją wyrozumiałem, i odjąłem granice narodom, i złupiłem książęta ich, i stargałem jako mocny wysoko siedzące". A Pan Bóg odpowiedział mu: „Iżali się będzie przechwalać siekiera przeciw temu, kto nią rabie? Albo się podwyższy piła przeciw temu, który nią trze?" Zapamiętajcie sobie tę odpowiedź Pańską wy wszyscy, którzy coś o sobie rozumiecie, i wiedźcie, że bez łaski Boskiej nic nie uczynicie. Człowiekowi raczej mówić trzeba: „Twoją rękę, o Panie, całować będę, bo od ciebie mam wszystko!"

Ponieważ pycha tak brzydkim jest grzechem, nie ma prawie ani jednej karty w Piśmie św., na którejby nie było napisane, że Pan Bóg nienawidzi pysznych, że pyszny jest obrzydliwością w oczach Pańskich. Pan Jezus był pełen łaskawości względem największych nawet grzeszników, i do wszystkich odzywał się słodko: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrapieni jesteście, a Ja was pokrzepię". A jednak zawsze surowo potępiał faryzeuszów, których głównym grzechem była pycha, i zapowiadał im, że ich czeka zatracenie. Cóż może być Panu Bogu wstrętniejszego, jak patrzeć na człowieka, którego z niepojętej miłości swojej stworzył, który od Boga ma wszystko, a ten człowiek poważa się wydzierać Najwyższemu chwałę i sobie ją samemu przyznawać? Dla tego też bardzo ciężko karze Bóg pysznych. Jako groby biją najczęściej we wysokie budynki, wieże i dęby, tak i Bóg zesyła kary swoje najczęściej na pyszne karki które się nad inszych wynoszą. Dowodem tego kara pierwszych aniołów. Podnieśli się w pysze, a oto Bóg powstał w gniewie swoim i strącił ich w przepaść piekielną. Dowodem pycha pierwszych naszych rodziców. Chcieli być jako Bóg i dla tego wygnał ich Pan Bóg z raju i podał na rozliczne utrapienia i na śmierć. Dla pychy król Nabuchodonozor wyrzucony został z pośród ludzi i żył jak zwierz dziki po lasach, aż się upokorzył. Dla pychy Aman powieszony został na tejże szubienicy, którą kazał był postawić dla Mordecheusza. Król Antyoch w pysze swojej rozumiał, że gwiazd nieba dosięgnie, a oto poniżona jest pycha jego i poczuł, że nie był niczem więcej jeno nędznym człowiekiem. Jakżeż nie brzydzić się pychą, kiedy Bóg nią się tak brzydzi i tak surowo karze!

Więc brzydźmy się pychą, najmilsi i unikajmy jej. Św. Bernard taką daje radę, aby się ustrzedz ducha pychy: „Zadawaj sobie często te trzy pytania: Czem byłeś? Czem jesteś? Czem będziesz? — Uważ, zkądeś przyszedł, i zawstydź się! Przyszedłeś na świat jako słabe, nędzne stworzenie, byłbyś zginął marnie, gdyby się insi o ciebie nie byli starali. „Oto w nieprawościach jestem poczęty, i w grzechu poczęła mię matka moja" — tak musi każdy mówić o sobie z królem Dawidem. Gdybyśmy nie zostali odrodzeni z wody i z Ducha św., bylibyśmy dziś jeszcze w niewoli czarta, a niebo dla nas zamknięte. A czem jesteś? Słabem, ułomnem stworzeniem, co nic nie potrafi właściwie, jedno grzeszyć i upadać. A czem będziesz? Na to odpowiada Kościół św.: „Z prochuś powstał, i w proch się obrócisz". Więc z czegoż ci się wynosić, gdy wszędy w sobie spostrzegasz nędzę i marność? Bądźmy pokornymi, najmilsi, jako był pokornym on celnik, byśmy kiedyś wzięli nagrodę od pokornego Zbawiciela naszego.

Zemsta kapłana

U drzwi pewnego kościoła w Paryżu, widywano codziennie od wielu, wielu lat, stojącego starego żebraka, znanego wszystkim pod nazwą „starego Jakóba". Oczekując jałmużny, siedział na jednem i tem samem miejscu, smutny i ponury, nie odzywając się prawie nigdy i tylko skinieniem głowy wyrażał podziękowanie, gdy go czem obdarzono. Gdy łachmany jeszcze wiszące na nim w strzępach, nieco się odchyliły, można było widzieć pięknie pozłacany krzyż, na wychudłej, zapadłej piersi nędzarza.

W tymże kościele zwykł był odprawiać Mszę świętą młody kapłan, imieniem Paulin, który nigdy nie przeszedł koło biednego Jakóba, nie obdarzywszy go skromnym datkiem. Paulin pochodził z bogatej i znakomitej rodziny francuskiej; jako duchowny, poświęcił się zupełnie i wyłącznie Bogu — całe zaś mienie przeznaczył na wspieranie ubogich i nieszczęśliwych. Nie znając go bliżej, lubił go bardzo stary Jakób.

Pewnego dnia zauważył Paulin, że stary Jakób nie siedział na zwykłem swem miejscu; gdy zaś przez dłuższy czas nie było go widać, zaniepokoił się tem żywo i zaczął się obawiać, czy biednego staruszka nie spotkało co złego. Dowiedział się przeto, gdzie mieszka, i pewnego razu udał się do niego, odprawiwszy Mszę świętą. Puka do wskazanej izdebki na poddaszu — a słysząc cichy głos, zapraszający go do wejścia; wchodzi, i zastaje Jakóba chorego w łóżku, czyli raczej na nędznym barłogu — z twarzą śmiertelnie bladą, z gasnącem okiem.

„Ach! to Wielebny Ksiądz Dobrodziej", zawołał z radością, poznawszy zacnego kapłana. „Jesteś bardzo łaskawym, mój Ojcze, iż przychodzisz do tak nędznego człowieka, jak ja. Prawdziwie, że nie zasługuję na to!"

„Co też to mówisz Jakóbie", odpowiedział na to Paulin, czyż nie wiesz, że Ksiądz jest przyjacielem nieszczęśliwego? „A zresztą", dodał uśmiechając się, „jesteśmy przecie starzy znajomi".

„Ach, księże Dobrodzieju! gdybyś wiedział... gdybyś mnie znał lepiej... to prawdziwie, nie rozmawiałbyś ze mną w ten sposób! Nie, nie — nie przemawiaj do mnie tak łaskawie, tak dobrotliwie: jestem nędznikiem... przeklętym od Boga i ludzi!"

„Przeklęty od Boga! co też ty mówisz? Ach, biedny mój Jakóbie — jak możesz mówić tak od rzeczy! Jeżeliś się czego złego dopuścił, to żałuj i wyspowiadaj się z tego; Pan Bóg jest nieskończenie dobrym i miłosiernym, i przebacza wszystko grzesznikowi szczerze żałującemu.“

„Ale nie mnie — mnie On nigdy nie przebaczy!“

„Nigdy? i dlaczegóżby nie? Czy żałujesz za złe, któreś popełnił?“

„Czy ja żałuję!“ zawołał donośnym głosem Jakób, zerwawszy się z posłania i wodząc przerażonym wzrokiem dokoła. „Czy żałuję? — tak jest, żałuję z całego serca — trzydzieści już lat żałuję tego... a jednak, i tak jestem przeklętym... jestem potępionym na wieki!“

Dobry kapłan starał się go pocieszyć i podnieść na duchu; ale napróżno. Straszna jakaś tajemnica nurtowała głębie serca jego, a rozpacz powstrzymywała tego nieszczęśliwego od wyjawienia swej zbrodni. Nareszcie, nie mogąc się oprzeć łagodnym i serdecznym namowom kapłana, postanowił nieszczęśliwy Jakób powiedzieć przed nim to wszystko, co go tak bolało — i stłumionym, drżącym głosem, zaczął opowiadać, co następuje:

„W czasie krwawej rewolucji przy końcu zeszłego wieku, miałem sobie powierzony zarząd nad dobrami i zamkiem pewnej znakomitej i bogatej rodziny. Państwo moi, byli dla mnie anielsko dobrzy... hrabia, hrabina, dwie córki i syn. Miałem im wszystko do zawdzięczenia: stanowisko korzystne, wychowanie i żywot spokojny i szczęśliwy, jaki pod ich dachem spędziłem. Gdy jednak nadeszły czasy teroryzmu — te straszne czasy, w których, jako na niebezpiecznego zwierza, polowano na ludzi, należących do wyższych stanów, mordowano ich i zabijano bez litości, bez różnicy wieku i płci — wtedy zdradziłem ich nikczemnie! Unikając niechybnej śmierci, ukryli się w bezpiecznem miejscu; wiedziałem gdzie, i... doniosłem o tem krwiożerczym tyranom Francji — a to w celu dostania dóbr ich i majętności, które z prawa przypadały donosicielowi. Wszystkich tych zacnych, szlachetnych ludzi, skazano na śmierć, z wyjątkiem małego Paulina, który był jeszcze zbyt młody“.

Tu wydarł się z ust kapłana mimowolny okrzyk zgrozy i przerażenia — a zimny pot spływał mu z czoła.

„Ach, Księże Dobrodzieju!“ ciągnął dalej stary żebrak, który głęboko wzruszony i miotany okropnem tem wspomnieniem, nie mógł zauważyć przerażenia nieszczęśliwego swego słuchacza, „straszna to, piekielna zbrodnia!... Słyszałem, jak im odczytano wyrok śmierci; widziałem, jak ich wszystkich czworo rzucono skrępowanych na taczki śmiertelne: widziałem „,ach, księże Dobrodzieju, odwagi! Widziałem, jak głowy ich padały pod uderzeniem morderczego ostrza piekielnej istnie maszyny! Jakże okropnym, nikczemnym, potwornym jestem zbrodniarzem!... I odtąd nie mam ani chwili spokoju, ni ulgi. Płaczę, modlę się za nich. Widzę ich we dnie i w nocy! Patrz, Księże — oto są tam, za tą zasłoną!“

Mówiąc to, wskazał drżącą ręką na płócienną zasłonę, pokrywającą pewną część ściany.

„Krzyż ten, który wisi nad łóżkiem, był własnością nieszczęśliwego pana mego. Ten zaś mały złoty krzyżyk, który mam na sobie, nosiła niegdyś pani hrabina na szyi, nie rozstając się z nim nigdy za życia. Ach, mój Boże! jak przerażająca zbrodnia i podłość! jakże strasznie cierpię! jak gorzko żałuję za to!... Ach, zlituj się nademną, Ojcze Wielebny! nie odpychaj mnie i ty od siebie! — módl się za mną, największym zbrodniarzem i najnieszczęśliwszym z ludzi!“

Ksiądz klęczał przy chorym żebraku, blady jak śmierć. Po półgodzinnem, ponurem milczeniu, wstał spokojny i pogodny jak zwykle — przeżegnał się i uchyliwszy zasłony, zobaczył dwa portrety...

Na ten widok straszny, rozpaczliwy krzyk wyrwał się z piersi Jakóba, który bezsilnie zwalił się jak kłoda na posłanie. Ksiądz rzewnie płakał.

„Jakóbie“, przemówił wreszcie drżącym głosem, „wyrobię ci przebaczenie u Boga; wysłucham cię spowiedzi“.

Mówiąc to, usiadł przy tapczanie, a stary Jakób spowiadał się długo i szczerze. Gdy umierający wyznanie swe ukończył, zabrał głos Paulin.

„Jakóbie“, rzekł natchnionym i uroczystym głosem, „Pan Bóg ci przebaczył; ale nie na tem koniec, i ja też przebaczam ci z miłości ku Niemu. Ci bowiem, których wydałeś na śmierć, byli to... ojciec, matka i obie siostry moje!“

Jakóbowi włosy stanęły z przerażenia na głowie — otworzył usta, bełkocząc kilka słów niezrozumiałych, i upadł na posłanie. Kapłan przystąpił bliżej... Żebrak już nie żył.

Opieka Marji

W kościele N. P. Marji w Gdańsku znajduje się w powszechnej czci statua Matki Bożej, o której powstaniu opowiadają tak:

Jakiś ubogi artysta został oskarżony niewinnie o zabójstwo i na śmierć skazany. Nie pomogły jego usprawiedliwienia się, tylko to zdołał uprosić, że wyrok śmierci odłożono, aby mógł spełnić swój ślub i zrobić statuę Matki Bożej. Do Niej miał wielkie nabożeństwo, Jej więc polecił swoją sprawę i zabrał się do dzieła. Nabożeństwo do Marji w pracy nim kierowało, to też tak piękną Ją przedstawił i taki łaskawy, pełen dobroci, dał wyraz Jej rysom, że ci, którzy statuę oglądali, napatrzeć się jej nie mogli. Jeden z widzów, przejęty tem, głośno wyznał, że człowiek, który takie dzieła tworzy, zbrodniarzem być nie może. Przeprowadzono jeszcze raz cały proces i tym razem niewinność artysty się okazała.

Artysta, pełen wdzięczności ku Najśw. Panience, statuę, której ocalenie zawdzięczał, darował do kościoła N. P. Marji.

...Dla Przenajdroższej Krwi Chrystusowej!

Było to w Oreto na Korsyce, kiedy jeszcze nieszczęsny zwyczaj krwawej zemsty panował wszechwładnie na tej wyspie. Dwóch sąsiadów poróżniło się gwałtownie o miedzę graniczną ich posiadłości. Ambroży był chciwy, Bernard gwałtowny i porywczy. Podrażniony ostrą odpo-

wiedzią Ambrożego, chwycił w napadzie wściekłości za sztylet i wbił go swemu przeciwnikowi w pierś. Śmierć nastąpiła na miejscu. Morderca uciekł w góry.

Ambroży miał jedynego syna, młodzieńca bardzo uzdolnionego, który w pobliskiem miasteczku z zapałem oddawał się naukom. Przybył on na pogrzeb swego ojca do Oreto, a kiedy głęboko zmartwiony powracał z cmentarza do domu żałoby, zastąpiła mu w drzwiach drogę matka. Zbudziła się z niemego odrętwienia, w które po straszliwym wypadku z bólu była popadła, wydając się zupełnie obojętną na wszystkie wydarzenia świata zewnętrznego. Na ręku miała skrwawione odzienie zmarłego tragicznie małżonka, a prawą ręką wskazała w dal, gdzie na tle błękitnych wierzchołków gór rozciągał się wielki las kasztanów.

„Żyje jeszcze ten, co go zabił!" rzekła drżącym od gniewu głosem. „Tam, w tym lesie, ukrywa się. Bądź ty mścicielem, mój synu. Pomścij twojego ojca!"

Dziki ogień zabłysnął w żrenicach młodego Grzegorza. Rzucił ponure spojrzenie na zbroczoną krwią koszulę swego ojca i w milczeniu uścisnął dłoń matki. A potem uchwycił strzelbę i pobiegł w góry.

Niezmordowanie szedł za śladami mordercy, wśród skwaru dnia słonecznego i nocą przy migotliwym blasku gwiazd. Nareszcie pewnego poranku ujrzał na skraju lasu leżącego na ziemi, pod dzikiem drzewem oliwnem, bladego i zbiedzonego człowieka. Powoli zbliżył się doń po miękkim, tłumiącym szmery mchu. Był to istotnie morderca. W tej chwili spał...

Już podniósł Grzegorz strzelbę do strzału, lecz — nie! zabić śpiącego, byłoby rzeczą nieszlachetną!

„Tedy wstań, nędzniku, odmów ostatni pacierz, gdyż musisz zginąć!" krzyczy młodzieniec do nieszczęśliwca. Ten zrywa się na równe nogi, wnet poznaje, kto doń przemawia i wie w jednej chwili, że jest zgubiony.

„Jestem ścigany, jak dziki zwierz", mówi gorzko, „a przytem pod ciężarem wielkiej winy. Życie nie ma już dla mnie żadnej wartości; miej jednak litość nad moją duszą" — ciągnął dalej błagalnym głosem — „dla Przenajdroższej Krwi Chrystusowej, która dla ciebie i dla mnie na drzewie krzyża przelaną została, nie daj mi umrzeć w grzechach moich. Daj mi czas do dobrej spowiedzi. Pójdę z tobą do Oreto i sam oddam się w ręce sprawiedliwości".

I łaska Boża tknęła serce prześladowcy, podał nieszczęśliwemu człowiekowi prawicę i obaj udali się do Oreto. Gdy przybyli na miejsce, dzwoniono właśnie w miejscowym kościółku na Mszę świętą. Ku wielkiem zdumieniu gminy obaj mężczyźni weszli razem do kościoła. A podczas nabożeństwa brzmiały Grzegorzowi bezustannie te słowa w uszach: „...Dla Przenajdroższej Krwi Chrystusowej, która dla ciebie i dla mnie przelaną została na drzewie krzyża!"... W duchu widział Boskiego Zbawiciela, wiszącego na krzyżu, całego zalanego krwią i — modlącego się za Swych nieprzyjaciół!... A jak to on postępował? Czyż nie był takim samym mordercą, jak Bernard? O, był nawet bardziej godnym kary niż tamten! Bernard dał się porwać jednej chwili wściekłości, on zaś z zimną rozwagą przez dni całe poszukiwał swej ofiary! Wielka odraza do siebie samego i głęboka boleść napełniły mu duszę...

Grzegorz wstawił się za mordercą swego ojca. Wskutek tego kara dla niego była bardzo łagodna. Grzegorz zaś poświęcił się stanowi duchownemu i został duszpasterzem w Oreto. Najgorliwszem jego staraniem było zwalczanie uczucia mściwości jego rodaków... dla Przenajdroższej Krwi Chrystusowej, która dla zbawienia ludzkości tak obficie przelaną została.

Krzyk rozpaczy dla Ojca św.

Wśród licznych zesłanych zamożnych włościan („kułaków") znajduje się w lasach i kopalniach Uralu wielu kolonistów niemieckich katolików z południowej Rosji, gdzie w najstraszniejszych warunkach, o głodzie i łachmanach, ciężko pracować muszą. Jeden z nich, ojciec licznej rodziny, napisał list do Ojca św., w którym w tragiczny i wzruszający sposób opisuje straszliwą nędzę duchową i cielesną zesłanych kolonistów, oraz błaga o pomoc dla siebie i swoich współtowarzyszy niedoli. Z opisu, jaki list zawiera, wynika, że ciężkie roboty w kopalniach Uralu, a w szczególności dotkliwy głód, który stale się wzmaga, wycieńczają doszczętnie tych robotników, należących, jak wiadomo, do znienawidzonego przez komunistów odłamu włościan, t. zw. „kułaków". Prostota w doborze słów oraz ustęp listu opisujący niedolę niewinnych dzieci, które tak bardzo cierpią, muszą do głębi poruszyć każdego czytelnika.

Cudowna siła wody w Lourdes

Katolicki organ ukraiński „Meta" z dnia 19 bm. zamieszcza list dr. Józefa Dobrzańskiego, lekarza z Nicei, w którym autor do tysięcy cudownych uzdrowień w Lourdes dołącza jeszcze jedno, jakiego sam bezpośrednio był świadkiem.

W listopadzie 1930 r. — pisze dr. Dobrzański — zawezwano mnie do chorego na serce, znanego publicysty i redaktora pisma w Nicei, Eugenjusza Roche. Do choroby sercowej dołączyło się z czasem ostre cierpienie żołądka, tak, że chory zaprzestał przyjmowania pokarmów. Nad chorym, któremu groziła śmierć głodowa, odbyto szereg konsyljów lekarskich, zastosowano niezliczoną ilość zabiegów, ale wszystko na próżno. W końcu rodzina zawezwała słynnego magnetyzera, ale i on nie pomógł choremu. Gdy już nic nie skutkowało, poradziłem choremu, aby wzbudził silną wiarę w pomoc Bożą. Po duchowem przygotowaniu dałem choremu codziennie po szklance wody z Lourdes. Cud stał się widoczny i natychmiastowy — chory zaczął jeść i już zupełnie wyzdrowiał.
